



# WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci

Z DODATKIEM POWIEŚCIOWYM.

## W dzień Zaduszny.

O! jakże dziś smutno — i dzień tak ponury!  
Po niebie całunem rozwlokły się chmury,  
Ku ziemi poślókły liść leci.  
Ze świątyni tou pieśni żałobnej dolata,  
A kirów grobowych przysłania je szata,  
I gromnie posępny blask świeci.  
Ze wspomnień skarbniicy zdrój żalu się sączy,  
Dziś Kościół walczący z cierpiącym się łączy,  
Przez wiarę, — więc ból jej nie zaćmi.  
A zastęp wybranych w przybytku swej chwały,  
Wraz z rodem człowieczym, co we łzach dziś cały,  
Modlitwy zanoszi za braćmi.  
I Ten, Który piekło zwyciężył cierpieniem,  
Tak samo bolejąc nad ludzkim plemieniem,  
Jak niegdyś u grobu Łazarza.  
U mogił najdroższych ze szczytu potęgi,  
Przez usta sług Swoich też same nam z księgi  
Wyrazy pociechy powtarza:  
„Jam jest Zmartwychwstanie, i żywot i droga!  
Kto wierzy, nie pozna co śmierci jest trwoga!”  
Więc w ciężkiej pielgrzymiej kolei,  
Kto z wiarą ku niebu wzrok łzawy obróci,  
Wnet duchem urośnie, bo nie tak się smuci,  
Jak ci, co nie mają nadziei.  
Skalisty, koleczasty, na ziemi szlak czarny,  
Podniesie się tęczę nad obszar cmentarny,  
Pierś skrzepłą rozgrzeje żar męztwa.  
Łzy oschną na licu i gardząc zwątpieniem,  
Rad stanie do walki pod krzyża znamieniem,  
Tym pewnym sztandarem zwycięstwa.

E. Lejowa.





Walerya Marréne-Morzowska

## Ze skarbcza literatury wszechświatowej.

### Ramajana.

**D**rugi wielki poemat indyjski to Ramajana. Jest on przecież dużo krótszy od Mahabharaty, chociaż liczy także 48,000 wierszy, gdy tamten poemat ma ich 200,000. Ramajana była spisana kilka razy z różnymi odmianami w szczegółach. Zapewne uległa także dodatkom i przeróbkom, a co do czasu jej powstania, istnieją zdania tak różne, iż w dzisiejszym stanie nauki, niepodobna tego określić.

Utrudnia bardzo badania w tym względzie wybujała wyobraźnia Hindusów, lubująca się w fantastycznych cyfrach.

Zdaje się jednak rzeczą pewną, że Ramajana tak jak większa część poematów, była zbiorem pieśni i podań, które zostały zebrane w jedną całość. Doznieranym autorem Ramajany jest *Valmiki*, jemu przynajmniej przypisują ją.

Istnieje twierdzenie, że jak Mahabharata opiewa wojnę domową pomiędzy dwoma pokrewnymi rodami, tak Ramajana jest pomnikiem poetycznym wojny zaborczej Arjów z plemieniem tubylców, zakończonej podbiciem wyspy Lanka, w której upatrują powszechnie Cejlon.

Poemat zaczyna się jak stara bajka, opowiadana przez piastunkę. Był król Ajodhji zwany *Dasarata*, niezmiernie możny, potężny, mądry, cnotliwy i bogobojny. Siedział na tronie zrobionym z samych klejnotów, słychał pomiędzy wszystkimi królami. Pomimo swoich bogactw i sławy trapił się ciągle, gdyż był bezdzietny, a nadto dokuczały mu złośliwe demony, nad którymi panował potworny *Rawana*.

Dla zażegnania tych klęsk, a głównie dla uproszenia bogów o syna, Dasarata postanowił poświęcić im wielką ofiarę. W wybieraniu przedmiotów które na tę ofiarę przeznaczają, okazuje się wybujałość wyobraźni Hindusów, która utrudnia zrozumienie epok i faktów, bo te pełne zawsze fantastycznych wydarzeń i cyfr. I tak Dasarata rozdał kapłanom milion krów, 100 milionów sztuk złota i 400 milionów sztuk srebra. Naturalnie bożek Brama jest bardzo wzruszony tak hojną ofiarą, ale znalazł się w wielkim kłopotcie co do spełnienia prośb ofiarodawcy.

Mniejsza o dzieci, mógł nimi obdarzyć wspaniałego króla, ale nie mógł przecież zgładzić Rawany, któremu z powodu dawniej odprawionej pokuty, obiecał, że go nie zabiją ani bogowie, ani demony, ani geniusze, a nie poprzestając na tem ofiarował mu dziewięć zapasowych głów z oczami, uszami, nosami i t. p. ośmnaście ranion z rękami, na wypadek, gdyby te członki utracił kiedykolwiek.

Dar to był dziwnie fantastyczny, zdaje się nawet, iż żaden inny poemat o podobnych zapasowych członkach nie wspomina. Zyskał sobie Rawana pokutą równie fantastyczną. Stał bowiem na głowie pomiędzy pięciu rozpalonemi ogniskami przez dzieśięć tysięcy lat. Wobec tego Brama nie może szkodzić Rawanie, a wszyscy bogowie, chcąc się wywdzięczyć Dasaracie, udają się do bożka Wisznu, który ma swoją siedzibę na wyspie wśród oceanu z mleka, i wykładają mu kłopot, w jakim się znajdują.

Wisznu znalazł nań odrazu radę skuteczną. Ponieważ Rawanę ani żaden bóg, ani demon, ani geniusz zgładzić nie może tylko człowiek i to czło-

wiek obdarzony nadludzką siłą, on więc, Wisznu stanie się synem Dasaraty i dzieła tego dokona.

Rama, bohater poematu, jest więc właściwie jednym z licznych wcieleń Wisznu czyli jego *awatarów*, jak nazywają święte księgi Indusów.

Już od chwili urodzenia się widać, że syn Dasaraty nie jest to zwyczajne niemowlę. Przyszedł na świat w koronie, z pierścieniami w uszach, mającemi kształt krokodyla, a są to przedmioty, z którymi zawsze przedstawiają bożka Wisznu. Oprócz Ramy, Dasarata doczekał się jeszcze kilku młodszych synów, a matką jednego z nich *Barathy* była przebiegła i złośliwa *Kejkej*. Ta druga żona Dasaraty ocaliła mu kiedyś życie i wymogła wówczas na nim przysięgę, że w przyszłości bez wahania spełni dwie rzeczy, o które prosić go będzie.

Król naturalnie ze wszystkich synów kochał najwięcej owego Ramę, który posiadał niezmierną siłę i był wzorem cnót wszystkich, a jako najstarszy miał po jego śmierci tron odziedziczyć. Gdy Rama wyrósł na młodzieńca, ożenił się ze słynną z piękności i cnót nadzwyczajnych królewną Sita, córką króla Jaraki. Król ten posiadał łuk bożka Siwy i zapowiedział, że Sita odda tylko temu który potrafi łuk ten naciągnąć. Wobec tego warunku królewna mogła nigdy za mąż nie wyjść, łuk bowiem był tak ciężki, iż wszyscy jej zalotnicy nietylko naciągnąć, ale podnieść go z ziemi nie mogli.

Na szczęście zjawił się Rama, który tak silnie łuk napiął, że tenże pękł na dwoje. Ma się rozumieć otrzymał on rękę królewny i kochał ją, jak na to zasługiwała.

Dasarata stary już i strudzony panowaniem, postanowił mianować najstarszego syna swoim namiestnikiem, jak to było w zwyczaju w jego państwie, ale *Kejkej*, dowiedziawszy się o tem, przypomniawszy królowi obietnicę, kiedyś sobie uczynioną i zażądała by Rama został wygnany, a syn jej *Baratha* otrzymał godność, starszemu bratu przeznaczoną.

Usłyszawszy żądanie żony król padł zemdlny, a oprzytomniawszy ofiarował jej wszystko, czego pragnąć mogła, byle je cofnęła. Dałby jej wzamian jakie chce bogactwa, tysiące miast, lecz *Kejkej* trwa przy swoim. Wreszcie starzec błaga ją o litość nad sobą, bo nie przeżyje rozłączenia z Ramą, zabije go niesprawiedliwość wyrządzona mu. Wszystko daremne, kobieta trwa przy swoim.

Dasarata wbrew swej obietnicy gotów jest tron swój oddać Ramie, ale ten nie przyjąłby go nigdy, dowiedziawszy się o przyrzeczeniu ojca. Wie o tem *Kejkej* i wtajemnicza pasierba w położenie, bo ojciec nie ma siły wydać odpowiedniego wyroku. Rama kłęka przy łożu, na którym król wił się w rozpacz, błaga by nie troszczył się o niego, nie cierpiał z jego powodu. Ojciec obietnicę swą spełnić winien, a on, bez szemrania nawet z rozkoszą, spełni każdą jego wolę, bo to jest pierwszym obowiązkiem synowskim. Pójdzie więc jako wygnaniec na puszcę i zniesie spokojnie wszystko co go spotkać może.

Sam jednak, spełniając życzenie ojca, nie chce narażać Sity na ciężką dolę, jaka go czeka, więc chociaż kocha ją nad życie, chce ją zostawić w bogactwie i potędze. Ale Sita nie zgodzi się na to nigdy, i los swój uważa za związany nierozdzielnie z losem ukochanego męża.

Następnie walka szlachetności pomiędzy małżonkami, w której kobieta zwycięża. Idą więc oboje na wygnanie, towarzyszy im tylko jeden z braci Ramy Lakszman.

(d. n.)



## „Wszystkich Świętych“ w Nieświeżu.

(Dokończenie).

**P**

o chwili książę rzekł:

— A niechby też św. Piotr, panie kochanku, do Radziwiłła się pofatygował!

Przyszedł więc zaraz ów, co św. Piotra przedstawiał, a chociaż miał łysą głowę, nieco jeno siwymi włosami otoczoną, i siwą brodę, i zmarszczki na twarzy, z ócz wszakże błyszczących, pięknych, kształtnych rysów i całej postawy, łatwo poznać było, że pod tą powłoką zgrzybiałości kryje się młodość pełna życia.

Był to Piotr Gołasowski, znany ze swego dowcipu, a kształcący się jak i inni w szkole kadetów w Nieświeżu. Wybrano go umyślnie na przewodniczącego dzisiejszej uroczystości, by przywołany przez księcia, umiał się należycie w każdym terminie znaleźć i krotochwilną odpowiedzią księcia jegomości zabawić.

Staął też i teraz we właściwej postawie furtyana niebieskiego i czekał.

— Obiecaliście mi tron w niebie, panie kochanku, a za cóż się uchwycę, by dojść do tego tronu? — zapytał książę.

— Chwytać się niczego bodaj jego książęca mość nie ma potrzeby, boć kadeci nieświezczy na szabelkach go swoich podniosą — odrzekł mniemany furtyan niebieski.

Uśmiechnął się książę na zręczną odpowiedź i pyta:

— Ale cóż to, panie kochanku, jeno Święci do Radziwiłła w odwiedziny przybyli, a Świętej ani jednej nie widzę.

Stropił się jakoś Piotr na chwilę, boć przepomnieli zupełnie, że niebo nietylko Świętymi *masculini generis*, ale i świętymi panienkami i niewiastami jest zaludnione.

Stropił się więc, ale zaraz skoczył po rozum do głowy i nie zapomniawszy języka, rzecze:

— Wiadomo przecie jego książęcej mości, że nieprzystojnie jest białogłowom chodzić samopas w oddalone kraje, a jeżeli ta przystojność zachowywana jest na ziemi, temci więcej przestrzegana być musi w niebie.

— Chyba, że tak, panie kochanku, jako furtyan wprowadzający duszyczki do nieba, musisz znać tamtejsze obyczaje — odrzekł książę.

I zaraz zapytał:

— A dużo też jest świętych dziewic i niewiast, panie kochanku, w niebie?

— Jest, jest tego niemało, ale zawsze *genus masculinum* przeważa, boć to wiadomo, że zawsze i wszędzie *vir* pierwszeństwo trzymał — odrzekł Piotr z pewną chełpliwością.

— Chyba, że tak, — chyba, że tak, panie kochanku, — powtarzał książę. — Ale zawsze mi markotno, panie kochanku, że święte panienki i białogłowy Radziwiłła nie odwiedziły.

— Niema co jego książęca mość żałować, boć chociaż to święte, ale zawsze jako niewiasty jenoby harmideru przyczyniły — odrzekł Piotr.

— Chyba, że tak, panie kochanku, chyba, że tak — odrzekł znów książę, uśmiechając się filuternie. I znów zapytał. — Nie mając, jak widzę, panie kochanku, u waści białogłowy łaski, to im chyba trudno się dostać do nieba?

Piotr się tak zaczerwienił, że aż przez malunek

rumieniec na lice mu się wydostał — odrzekł wszakże nie tracąc rezonu.

— Jestem jeno furtyanem, wszelakie więc sądy nie do mnie należą; wpuszczam tedy każdego na kogo ten los szczęśliwy przypadnie.

— Ale nie każdemu może, panie kochanku, dość szeroko i chętnie wrota otwierasz — żartował książę.

— I to się zdarza, i to się zdarza — odrzekł, uśmiechając się Piotr

— Pilnujże, panie kochanku, żeby ci się podczas dnia Zadusznego zbyt wiele niewieścich duszyczek i bez uchylenia wrót do nieba nie dostało! — zakończył Radziwiłł.

I skinąwszy na rękodajnego, zszedł ze wzniesienia i począł się przechadzać między ustawionymi w ordynku *świętymi*, do których i Piotr, nie opuszczając swych kluczy, pośpieszył.

Muzyka na chórze przygrywała ciche, zastosowane do okoliczności pienia, książę tu i owdzie któremu ze świętych słówko szepnął i najwidoczniej rad był z uroczystości, bo od czasu do czasu krotochwilnie powtarzał:

— Nie myślałem, nie myślałem, panie kochanku, żeby Radziwiłł mógł tak swobodnie między świętymi przebywać.

Aż pacholcy zaczęli wnosić na tacach ciasto. Ten i ów spojrzął, boć tego w programie nie było, a nawet jakoś z uroczystością nie licowało. A książę, uśmiechając się, rzekł:

— Skoro święci, panie kochanku, mnie odwiedzili, nie może być, żeby ich, panie kochanku, Radziwiłł o suchej gębie, wypuścił.

Tedy owi święci wcale po ludzku zabierali ciastka, a też i kieliszczykami bardzo słodkiego miodu nie wzgardzili.

Okazało się też, że w każdym ciastku znajdował się dukat, co mocno mniemanych świętych uradowało, a miodek nieprzyzwyczajonym do innego krom wody napitku, tak jakoś poszedł do głowy, iż zaczęły im się rozmaite cudenka marzyć.

Aż tu nagle światła się przyćmiły i wielka ilość postaci dziewczęcych, jakoby wichrem pędzona, do sali wpłynęła.

Wszystkie były okryte białymi płaszczami i jak duchy ślaniające się i przemykające między zdziwionymi świętymi, okręcały każdym i na poly śpiewając, mówiły:

Toć już i Zaduszki,  
My pokorne służki,  
Pokutnice długo  
Nad łez ludzkich strugą.  
Aż i nieba wrota  
Rozwarła nam cnota,  
Więc teraz jak trzeba,  
Lecimy do nieba!  
Fru, fru, fru!

Tuman, jak mgła gęsta, napelnił salę — muzyka, która przygrywała tęskne pienia, przechodzić zaczęła w hymn radosny, a że sala była o dwóch podniebiach, pierwsze się rozwarło, ukazało się błękitne ze złotem, jakby niebiańskie światło, a dziewice trzepocąc przyczepionymi skrzydłami, zaczęły się wznosić na błękitnych, jak mgła oponach, ku górze.

*Święci* z Piotrem na czele, nie rozumieli dobrze, co się dzieje, tak to wszystko zrobiło się składnie, nagle i ładnie.

Niejeden rozmarzony słodkim miodem i nadspodziewanem zjawiskiem, sądził, że to naprawdę duszyczki w dzień Zaduszny ulatują ku niebu.

Książę zaś myślał sobie:

— A to mi się udało, panie kochanku.

Aż naraz podniebie się zamknęło, zwykle, codzienne światła napełniły salę, a książę śmiejąc się, zawołał:



— Tak, tak, panie kochanku, furtyan wrót niebieskich nie pilnował i oto wleciały do nieba dziewice. — A teraz, panie kochanku, marsz do kościoła i każdy niech zmówi klęczący wieczny odpoczynek za dusze zmarłych. O Radziwile też, gdy umrze, panie kochanku, nie zapominać!

Z. Morawska.

## Z DANII

(Dalszy ciąg)

Dzień czwarty. Kopenhaga

Cały szereg niespodzianek przyniósł mi dzień dzisiejszy. Kiedy zrana pakowaliśmy się do podróży, ktoś zastukał. — Proszę — odpowiadam, sądząc, że to służący z rachunkiem. A tu we drzwiach słyszę głos:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Patrzę ze zdziwieniem, wchodzi jakiś robotnik.

— Czy pan jest Polakiem? — pyta.

— Tak jest, odpowiada ojciec, — czem mogę służyć?

— Proszę pana dobrodzieja przyszedłem zasięgnąć rady, żona moja leży chora w szpitalu i nie mogę dostać się do niej, bo ani po duńsku, ani po niemiecku mówić nie umiem, nie mogę się z nikim porozumieć, może pan będzie łaskaw objaśnić mnie, jak mam trafić do owego szpitala.

— A skąd to wzięliście się tutaj?

— Z Galicyi, proszę pana, bieda nas z domu wygnała, pracuję w cegielni na wsi, parę stacyj stąd; a żona moja zgodziła się, za praczkę w szpitalu; po przeciwi kobieta i bardzo skora do roboty, widać przepracowała się i zachorowała. Pisałem do naszego księdza misyonarza, jak jest, więc odpisał, że dziś przyjedzie i w tym hotelu o godzinie 9-iej mamy się zejść. Nie przyjechał, pewno go coś wstrzymało; a ja bez niego jak niemowa w tym kraju.

— Bardzo chętnie wam dopomogę, — odpowiedział ojciec. — Chodź, Janku z nami, dziś już nie pojedziemy.

Uwinąłem się rychło; czapkę i Bedekera (przewodnik po Danii) pod pachę i byłem gotowy.

Ojciec tymczasem przejrzał plan miasta, odnalazł na nim ów szpital i poszliśmy.

— A ksiądz mówi po polsku? — pyta ojciec robotnika.

— Tak proszę pana, — mówi, — nie tak wyraźnie jak my, ale wszystko zrozumieć można, a pan jeszcze nie zna naszego księdza misyonarza?

— Nie, nie wiem nic o nim.

— O mój Boże, toć to przecie nasz pasterz, nasz opiekun, nasz ojciec w tym kraju; gdyby nie on zginęlibyśmy! To pan nie wie, że on wychodźcami opiekuje się, on nam tu w Danii kościół katolicki wystawił, bo Duńczycy są protestanci, on do każdego z nas przyjedzie, wypowiada, nabożeństwo odprawi, naukę powie, on i list nam do domu napisze, jak który pisać nie umie, tak, proszę pana. Jak na wiosnę przyjedziemy na zarobek, to wprost do księdza idziemy; on też nas zaraz ulokuje u porządnego gospodarza; jednych pośle do fabryki, innych na pole do buraków lub do ogrodów i wtedy wiemy, że będzie nam dobrze.

— Już też widać, że Matka Boska Częstochowska natchnęła go swoją miłością, żeby nami biedakami opiekował się. Bo tak Polaków lubi jak braci rodzinnych. Polskie książki czyta, i był też u nas, tak się do nas przywiązał. — Że też pan dobrodzieja go nie poznał.

— A dużo was tu przyjeżdża rocznie na robotę?

— Dużo proszę pana, do 4,000 — ale to tylko na 7 miesięcy; na zimę zostaje nas tu kilkudziesięciu tylko przy cegielniach, a reszta do domu wraca.

Tak rozmawiając, doszliśmy do dużego ogrodu.

— Janku, — powiedział ojciec, — zostaniesz tu z godzinę w ogrodzie, a ja pójde do szpitala, — nie mogę cię zabrać do chorych.

Trudno, trzeba było przystać, choć nie bardzo chętnie, usiadłem na ławce i pogwizduję sobie.

Wtem widzę przechodzi szkoła z nauczycielem, idą prędko, a więc nie spacerują, tylko do celu jakiegoś zmierzają. Nie namyślając się długo, wstałem i poszedłem za nimi.

Minęliśmy kilka alei i w końcu nauczyciel zatrzymał się przy pomniku. A wtedy zwrócił się do dzieci z temi słowy:

— Czy poznajecie, chłopcy, kto to jest taki?



Arcyksiążę Leopold Salwator z żoną i córkami i hr. de la Vaulx przed wyruszeniem w podróż napowietrzną. (Patrz ze świata).





Pomnik Andersena w Kopenhadze.

— Andersen, dziadzio Andersen! — zawołało kilka głosów.

— Tak jest, Andersen, — wielki przyjaciel dzieci, genialny bajkopisarz; przyjrzyjcie się jego twarzy, spokojna, łagodna, dobra — opowiada w tej chwili jedną ze swoich bajek.

Pewno z pomiędzy was nie znajdę ani jednego, któryby bajek Andersena nie znał...

— Ja, proszę pana nauczyciela, czytałem „Caló-weczkę.”

— A ja „Wędrowki księżycy” — przerywały dzieci.

— Dobrze, — a że autor tych bajek był naszym rodakiem, więc obowiązkiem jest poznać go bliżej.

Wśród dzieci powstał ruch, wkrótce jedne usiadły, inne stanęły sobie wygodnie, a nauczyciel wszedł na stopień pomnika, oparł rękę o kamień i tak mówić zaczął.

— *Hans Andersen* żył od roku 1805 do 1875. Był synem szewca. Nędzę mieli wielką w domu i mały Hans mógł otrzymać zaledwie elementarne wykształcenie, poczem miał przysposobić się na rzemieślnika. Po śmierci ojca musiał zabrać się do pracy zarobkowej; lecz niedługo w tem wytrwał miał bowiem tak wielki zapał do nauki, że usiedzieć na wsi nie mógł więc mając lat 14 udał się do Kopenhagi i wstąpił do szkoły. Niedługo Hans Andersen zwrócił uwagę profesorów swemi wybitnymi zdolnościami i darem poetyckim. Dzięki temu i pomocy swych opiekunów mógł skończyć wyższe szkoły i uniwersytet.

Ządza wiedzy pchała go jeszcze dalej, nie wystarczały mu nauki pobierane w kraju, chciał czerpać jeszcze wiadomości na szerokim świecie. W tym celu pojechał do Niemiec, gdzie zapoznał się z nowoczesnymi uczonymi, a następnie osiadł na dłuższy czas we Włoszech. Tu spotkał się ze swoim rodakiem, rzeźbiarzem Thorweldsenem i zawarli długoletnią przyjaźń.

Andersen napisał w swoim życiu dużo dzieł; są to poezye, dramaty, komedye; opisał życie swoje w dziele zatytułowanym „Baśń mojego życia,” ale największą, wszechświatową sławę zjednały mu „Baśnie fantastyczne” które wydał w roku 1835.

Baśnie te są pełne fantazyi i humoru, a materiał czerpał z opowiadań słyszanych w dzieciństwie, albo z własnej wyobraźni.

Baśnie doczekały się mnóstwa wydań i przekładów na wszystkie języki europejskie.

Chcąc uczcić pamięć wielkiego pisarza, Duńczycy postawili mu pomnik w ogrodzie gdzie najczęściej dzieci przebywa.

A teraz, chłopcy, i my na cześć jego zaśpiewajmy pieśń o bohaterach narodowych.—

Rozległ się choralny wesoły śpiew i gromadka ruszyła z powrotem.

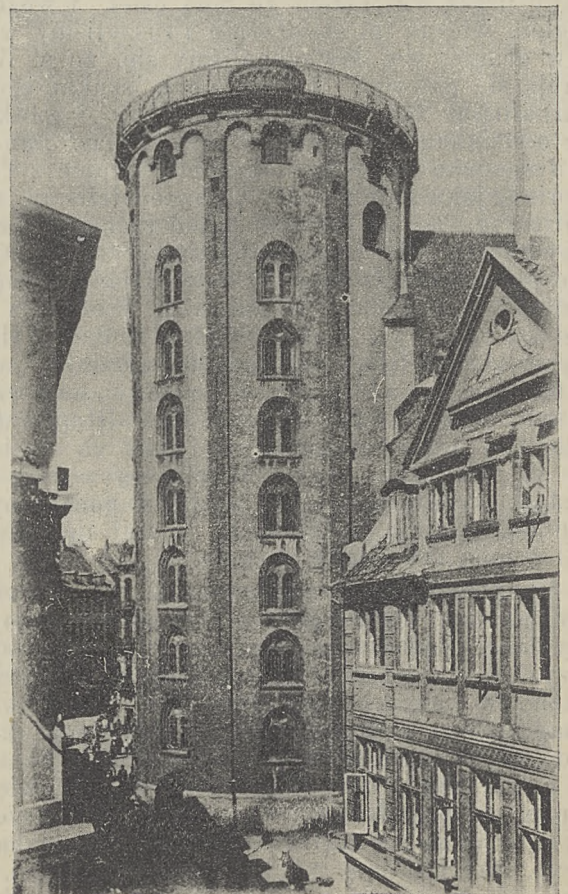
Usiadłem obok na ławce, rozmyślając, że szczęśliwy traf zaprowadził mnie do miejsca, gdzie tyle ciekawych rzeczy usłyszałem. Mam i ja zbiór niektórych bajek Andersena po polsku, ale nic nie wiedziałem o autorze „Bajek.”

W tem ktoś położył mi rękę na ramieniu, obejmując się, był to ojciec.

— No cóż, nie nudziło ci się tu samemu?

— O bynajmniej, tatusiu, — bardzo przyjemnie czas spędziłem. I opowiedziałem wszystko com widział i słyszał.

— Cieszę się wspólnie z tobą, że skorzystałeś coś w mojej nieobecności, a teraz, wracając do domu, zaprowadzę cię na wieżę, z której podobno doskonale widać całe miasto. Do odjazdu mamy jeszcze cztery godziny, więc pewnie zdążymy. Poszliśmy. Wieża rzeczywiście jest bardzo wysoka, ale prowadzi do niej wygodna droga, więc nie bardzo



Okrągła wieża w Kopenhadze.



zmęczyliśmy się. Widok stamtąd jest wspaniały, widać się całą panoramę miasta.

— No, mały, — powiada ojciec klepiąc mnie po ramieniu, — to nasza ostatnia wycieczka w Kopenhadze, teraz pojedziemy do kąpieli morskich na wypoczynek.

— Szkoda, że wyjeżdżamy, — tyle tu nowości na każdym kroku. I już nic więcej ojciec, oglądać nie będziemy?

— Owszem, Dania jest kraj tak ciekawy, że mamy jeszcze przed sobą dużo rzeczy, godnych widzenia. Po drodze są dwa piękne zamki Fredrighsborg i Kronborg, które zostały zamienione na muzeum, jutro właśnie tam będziemy.

Podskoczyłem z radości i uściskałem ojca. Jaki pan Bóg dobry, że dał lato, przynajmniej człowiek czegoś użyje. Ale, jeżeli będę kiedy dyrektorem gimnazjum, to wprowadzę taki zwyczaj, żeby uczniowie mieli 10 miesięcy wakacyj, o 2 nauki. Bo nasz dyrektor pewno nie wie, ile to przyjemności można użyć w tym czasie.

*Teresa Jadwiga.*

## DWIE WYGNANKI.

POWIEŚĆ Z CZASÓW CESARZA BARBAROSSY.

(Dalszy ciąg).

**M**ożem zawinął, ale serce i rozum nakazywały iść za nią. I poszedłem. W stajence pozostał zapomniany przez was razem ze mną osieł, i wózek, zaprząłem wierne mi stworzenie i ruszyliśmy w drogę. Już w drugiej wsi dowiedzieliśmy się, że w Weronie zbierają się patryoci, którzy chcą szukać spotkania z Barbarossą, tam więc podążyliśmy i spotkaliśmy się z oddziałem zbrojnych. Przyjęto nas. Jam przedstawił się jako Giovanni Bergoma, kupiec z Tortony; signorina, jako mój wnuk. Opowiedzieliśmy zmyśloną historję, że uciekliśmy przed rzezią, to zdwoiło ich sympatyę dla nas; mówiliśmy, że tułaliśmy się długo po wawozach Alp, aż dowiedziawszy się przypadkiem od kmięcia, że młodzież Werońska gotuje zasadzkę na wroga, postanowiliśmy połączyć się z nią. Uwierzyli, zostaliśmy wcieleni do oddziału; jam czuwał nad signoriną, że dziad rodzony nad wnukiem własnym nie czuwałby lepiej; nie odstępowałem jej na chwilę, ona wdzięczna mi była za to i blisko mnie się trzymała; zrazu śmieli się z niej, potem przestali; wydawała się tak wątła, iż poczęli być wyrozumiali na moją troskliwość; dziwili się tylko, żem wziął z sobą tak młode pacholę.

Obóz swój rozłożyliśmy w Alpach, w ukrytym wawozie, tam doczekaliśmy się wracającego z pod Medyolanu Barbarossy; wracał z garstką rycerzy, skorzystaliśmy z tego i otoczyliśmy go. Niestety, nie wiedzieliśmy, że tuż za nim idzie cała jego armia, i wpadliśmy w pułapkę. Większość poległa, kilkunastu do niewoli się dostało, w tej liczbie była signorina i ja... Barbarossa skazał jeńców na powieszenie, nie mogłem pogodzić się z myślą, aby Beatrycza tak haniebną śmiercią zginęła, padłem na kolana i wyznałem, kim jest mój wnuk, poczem błagałem, by darował jej życie. Barbarossa zmięknął, uwolnił ją od kary śmierci, lecz podarował jednemu ze swoich rycerzy.

— O jaki ze mnie nędznik, więc to ja wtrąciłem ją w tę przepaść! — zawołał Arnold.

I zerwawszy się z krzesła, począł biegać po komnacie mówiąc z rozpaczą:

— Miałeś słuszność, Beatryczo, klątwę rzucić na mnie; przeze mnie tyś niewolnicą dzisiaj, najnie-szczęśliwszą istotą.

— Uspokójcie się, panie, dola signoriny nie jest jeszcze tak bardzo zła, jak ją sobie wyobrażacie — odezwał się Giovanni. — Rycerz, któremu się dostała jest Bolesław Wysoki, Piast, syn Władysława, księcia Krakowa, wygnańca także — odparł Giovanni.

— Otucha wstępuje we mnie — szepnęła nieszczęśliwa matka — ród Piastów słynie zacnością swych mężów i niewiast, a niedola czyni człowieka lepszym, syn wygnańca dla branki okrutnym być nie potrafi.

— Księżę sam prosił cesarza, by mu signorinę podarował i zdjął z niej wyrok śmierci — odezwał się znowu Giovanni — mówił, że zawiezie ją swej siostrze, by wzajemnie pocieszały się w doli wygnanek.

Pani Teresa podniosła wzrok w górę i ręce złożyła.

— Santa Maria! wlej słodkość w serce córki Piasta, aby słodką dla mojej dziewczeczki była — rzekła głosem wzruszonym.

Przy tych słowach łzy potoczyły się znowu z jej oczu, a dzieci skupiły się około matki.

— Ja pójdę prosić Piasta, by nam oddał Beatryczę — odezwała się cichutko Mafalda — pozwól, mam, pójdę razem z Giovannim.

— I ze mną — dodała Stellina.

— Ani myślę prosić, wezmę łuk na plecy szablę przypaszę, zabiję Bolesława Wysokiego i sam zabiorę Beatryczę — odezwał się Marcello.

— I ja ci pomogę — rzekł Luigi.

Pani Teresa ogarnęła działawę ramieniem i pochylała się ku niej.

— Wy ze mną modlić się będziecie, aby Bóg Wszechmocny dozwoił powrócić do nas Beatryczy — rzekła.

Arnold zatrzymał się przed nią, oczy jego gorzały.

— Wam modlitwa pokój w serce wleje, a może da nadzieję, lecz cóż ja mam czynić; wyrzuty sumienia mnie dręczą, jestem bliski szaleństwa, modlić się nie potrafię — zawołał:

— Wam pokuta pozostała signor de Brescia — pokuta maże winy i spokój powraca — odezwał się Giovanni.

Arnold ukrył twarz w dłoniach, chwilę stał milczący z głową pochyloną, poczem ciężkie westchnienie wydarło się z jego piersi, podniósł czoło, zbliżył się do ciotki i ukląkł u nóg jej.

— Powiedz ciotko, że przebaczasz, a łatwiej będzie mi pokutę rozpocząć — rzekł.

Ona krzyż nad jego głową nakreśliwszy, mówiła: — Niech cię Bóg wspiera, nieszczęśliwy chłopcze, modlić się i za ciebie będę

Arnold ujął jej rękę i do ust przycisnął, poczem oddalił się zwolna.

\* \* \*

Była to wiosna: cichy wieczór otaczał wzgórze, na którym wznosił się zamek Altenberski; przez otwarte okna dołatywał do komnaty Ryhezy żywy, czyny zapach młodych pączków sosen. Tlejący na kominie ogień rozpraszał mrok, ogarniający komnatę, a ciszę tam panującą od czasu do czasu przerywały wyskakujące z lekkim trzaskiem czerwone iskierki.



W głębi tej komnaty w krześle z poręczami, siedzi Władysław II-gi, u nóg jego na poduszce, z głową opartą o kolana ojcowskie klęczała Ryheza.

Oboje milczeli, oboje odbiegli w tej chwili myślą w dalekie strony, do których rwała się ich tęskniona dusza, za którymi tutaj w tym pięknym zamku nieraz jedno przed drugim wylewało łzy w skrytości, aby sobie wzajemnie serdecznej rany nie drażnić.

Milczeli oboje, lecz na ich czołach widniały smutek i tęsknota, czytał te uczucia na twarzy córki Władysław i gładził jej złote włosy, chcąc pieczołotą ból jej łagodzić, a Ryheza szeptała od czasu do czasu:

— Drogi ojcze, jak mi jest dobrze w tej chwili! Pewną była, że słowa te leją balsam pociechy w serce ojca.

Wtem przez otwarte okno doleciał ich głuchy hałas od zwodzonego mostu i spłoszył wygnańcom chwilę spokoju; rodzinne pola, lasy i łąki pierchły z przed oczu Ryhezy; zamek Krakowski, o którym marzył Władysław, znikł i oboje westchnęli.

— Ktoś przyjechał; słyszałem zgrzyt łańcuchów, straż most spuściła — rzekł książę.

— A ja tentent i rzenie rumaków słyszę — do-dała Ryheza — może Bolesław wraca?

Tymczasem w przyległej komnacie rozległy się drobne i szybkie kroki, niebawem we drzwiach ukazał się Żabka — karzełek,

— Miłościwy książę, Bolesław Wysoki wjechał na dziedzińcu zamkowy — oznajmił głosem bez tchu.

Władysław powstał.

— Pójdziemy powitać powracającego — rzekł do córki i ku drzwiom się zwrócił.

— Wołałabym tutaj zaczekać na brata, obce rycerstwo pewnie go otacza — odparła Ryheza.

— Przyślę ci go — rzekł Władysław i oddalił się.

Królewna do okna się zbliżyła i patrzyła, jak na dziedzińcu zamkowy tłoczy się zbrojni rycerze, jak z koni zsiadają, jak pacholki śpieszą, by rumaki wieść do stajni; brata wzrokiem szukała, lecz nie mogła go dopatrzeć. Naraz w przyległej komnacie rozległy się kroki pospieszne.

— Książę idzie — odezwał się Żabka, który stał w pobliżu swej pani.

Serce Ryhezy mocno uderzyło, pośpieszyła naprzeciw i ramiona ku idącemu wyciągnęła, Bolesław uściskał ją serdecznie!

— Podarek z wojny ci przywozłem — rzekł wesoło — widzisz to śliczne pacholę, ono twoją będzie własnością, już nikt przeczyć nie będzie, żem dobry brat — dodał.

Ryheza teraz dopiero spostrzegła, iż za Bolesławem stoi chłopię jakieś, ze skrępowanymi rękami.

— Niebożátko — odezwała się ze współczuciem — każ mu ręce z powrozów uwolnić.

— Już się litujesz, choć nie wiesz jeszcze, co to za jeden, a cóż będzie, gdy ci to powiem — odparł książę i zwrócił się do karzełka.

— Żabko! — zawołał — rozplącz węzły tego powroza, a ty Ryhezo wydobądź jedną z twoich szat i podaruj pacholęciu, wiedz bowiem, że to dziewczyna — dodał, śmiejąc się.

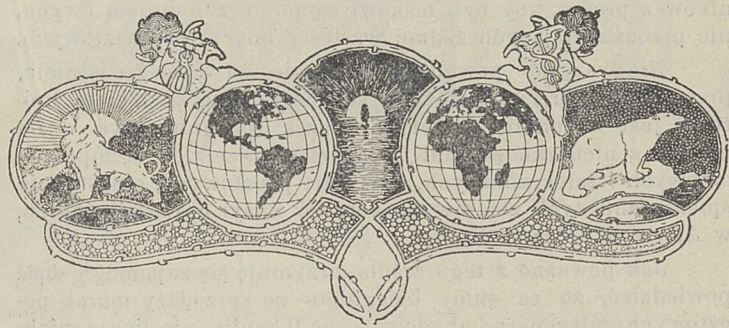
Ryheza spojrziała zdziwiona.

— Ona sama wyjaśni ci tajemnicę, której ciekawą jesteś — odparł Bolesław, na pytające spojrzenie siostry — wiem, że ją sobie pozyskasz, bo jej niczem nie urazisz. Dumne to strasznie, ale ty nie potrafisz ranić dumnych. Ja do rycerstwa śpieszyć muszę, w tym zamku gośćmi są oni moimi, a do tego gośćmi, o których względę dbać winienem. Barbarossa obiecał mi w drodze, iż ruszy zaraz nad Wisłę.

— Pragnę całym sercem wrócić do swoich, lecz bez hucfów niemieckich, ja mścić się nie chcę — odparła Ryheza.

— Ta inaczejby mówiła — rzekł Bolesław, wskazawszy na Beatrycę, która uwolniona z pęt, posępnie na nich spoglądała.

(d. c. n.)



## ZE ŚWIATA.

**Wycieczka balonem.** Minęły już czasy, kiedy podróż napowietrzna balonem należała do niezwykłych wypadków, podziwianych i opisywanych szeroko. Teraz w miarę ulepszeń w budowie aerostatów i coraz doskonalszych przyrządów do sterowania balonami, podróże napowietrzne stały się mniej niebezpieczne i coraz więcej znajdują zwolenników. Świeżo właśnie, dnia 9-go października odbyli taką wycieczkę: arcyksiąże austr. Leopold Salwator, w towarzystwie brabiego de la Vault balonem „Le Centaure.” Wyruszono z Paryża, a wylądowano na wybrzeżu morza Niemieckiego w pobliżu Lubeki. Rycina nasza przedstawia zdjęcie fotograficzne, wykonane na kilka minut przed wzlodem balonu. Arcyksiężna odbyła także przejażdżki balonem nawet raz towarzyszyły jej córki.

**Wystawa w Miechowie.** Pamiętają zapewne czytelnicy nasi notatkę o wystawie rolniczej w Dźwińsku; obecnie podajemy wiadomość o drugiej podobnego rodzaju wystawie, urządzonej w Miechowie, mieście powiatowem gubern. Kieleckiej.

Wystawa Miechowska odmienny nieco miała charakter, była wyłącznie włościańską, gdyż właściciele majątków większych nie brali w niej udziału. Z pomiędzy wystawionych produktów rolnych, sprzętów gospodarskich i wyrobów domowego przemysłu, najładniej wyglądał pawilon wyrobów tkackich włościan tutejszych, dzięki swojskości motywów i pięknemu doborowi kolorów w różnego rodzaju kilimkach oraz tkaninach wełnianych.

Sam Miechów, miejsce tej pierwszej wystawy włościańskiej, nie wyróżnia się niczem i nie posiada żadnych pamiątek prócz starożytnego kościoła Bożogrobców czyli Miechowitów, który ocalał z ogólnej pogorzelii jaką miasto nawiedzone zostało przed kilkudziesięciu laty.

Miechów leży nad rzeką Wielką o 8 wiorst od stacyi kolejowej; do liczby miast powiatowych został zaliczony dopiero około połowy XIX wieku.

**Uprzejmość gospodarza.** Król angielski Edward znany jest powszechnie ze swej uprzejmości i ugrzecznienia.

Przed kilku laty, gdy był jeszcze następcą tronu, zaprosił raz do siebie na obiad pewnego uczzonego.

Gdy podano kawę, przerażenie ogarnęło obecnych na widok gościa, który nie znając widocznie zwyczajów towarzyszkich, pił sobie najspokojniej ze spodeczka.

Szyderczy szmer obszedł cały stół.

Książę podniósł oczy i spostrzegłszy powód ogólnego poruszenia, wylał kawę z filiżanki na spodek i pił tak, jak jego gość.

Zawstyżeni członkowie książęcego domu zrozumieli naganę i zrobili to samo.



## Do naszych czytelników.

W każdym domu corocznie przychodzi po kilkaset lub co najmniej kilkadziesiąt listów, których koperty z markami ulegają zazwyczaj zniszczeniu.

W sprawie właśnie tych zużytych, a wyrzuconych do pieca lub na śmieci marek, zwracamy się do naszych czytelników z prośbą, aby byli łaskawi zajęć się zbieraniem owych, nie przedstawiających żadnej wartości znaczków pocztowych.

Nie wszyscy pewno o tem wiecie, że w Belgii istnieje, przed trzynastu laty założone stowarzyszenie, zadaniem którego jest zbieranie zużytych marek (powinny być o ile można z nieuszkodzonymi brzegami), wszelkich stempli pocztowych i telegraficznych, oraz kart pocztowych, a następnie spieniężanie tych zbiorów na korzyść misji chrześcijańskich, w Afryce w Górnem Kongo.

Jak poważne z tego źródła otrzymują się zapomogi, dość powiedzieć, że za sumy osiągnięte ze sprzedaży marek pocztowych, misjonarze zbudowali już 9 kaplic, nie licząc wielu osad, gdzie znajdują schronisko ubodzy Murzyni poganie. Otoczeni tam miłościwą opieką zakonników, przyjmują chrześcijaństwo, a wróciwszy następnie do swoich wiosek pogańskich, gorliwie pracują nad odrodzeniem swych braci pogan, nawracając ich słowem i przykładem.

Zbierając więc zużyte marki, mili czytelnicy, możecie przyczynić się do wielce wzniosłego dzieła.

W przesyłaniu zbiorów do miejsca przeznaczenia chętnie pośredniczyć będą „*Wieczory Rodzinne*,” do redakcyi których zużyte marki nadsyłać możecie pocztą lub okazją.



### SZARADA.

ul. E. L.

*Pierwsze* to ja wraz z tobą miły czytelniku.  
*A trzecie* jacyś bliźcy znów w tym samym szyku.  
*Pierwsze z drugim* wciąż krążą loty nieścigłemi,  
 Niczem nie powstrzymane po niebie i ziemi.  
 Czasem życie zamroczą, lub dolę zlągodzą,  
 Względnie do swego źródła z jakiego pochodzą.  
*A drugie, trzecie* rodzą owoc bardzo smaczny,  
 Którego każda jesień daje zapas znaczny.  
*Wszystko* wraz jest to człowiek co w pewnym okresie,  
 Mieszkańcom pól i lasów strach i zgubę niesie.

**Szarady:** Tur — kot.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 41-go.

**Łamigłówki:** 1) Bobry. 2) Proso. 3) Polka. 4) Tremo. 5) Wisła. 6) Bułka. 7) Praga. 8) Kowno. 9) Koper. 10) Korba. 11) Kruki. 12) Sosna.

Środkowe litery tych wyrazów tworzą pseudonym:  
Bolesław Prus.

## OGŁOSZENIA.

### Zakład Freblowski.

ze Słójdem i Gimnastyką szwedzką.

**Janiny Szczęsnowicz.**

Krak. Przedm. Nr. 6.

Przyjmuje dzieci od lat 3 — Zapisy codziennie. 6—5

### Zakład freblowski RAPACKIEJ Leszno 49.

Kursy dla wychowawczyń, bon. Świadectwa. Słójd dla dzieci, dla dorosłych po południu. 6—4

### NA CZAS SZKOLNY.

### Zakład krawiecko-reperacyjny.

Franciszka Baryckiego.

ul. Żorawia Nr. 5.

poleca rodzicom i opiekunom dla uczącej się młodzieży mundurki, bluzki, i spodnie etc. Odświeża, reperuje, pierze chemicznie, ceruje sztucznie, oraz źle zrobioną garderobę męską poprawia — przyjmuje obstalunki z własnych i powierzonych materiałów. 10—5

Pierwsza w kraju specjalna fabryka

# Wózków i Welocypedów

# E. HERMAN

MARSZAŁKOWSKA 53

poleca w wielkim wyborze: **Wózki** dziecięce od rubli 5 — 60. **Wózki** trzykołowe dla dzieci, mogących siedzieć od rb. 8 — 30. **Welocypedy** od rb. 5 — 15. **Wózki** - fotele dla chorych, najnowszych fasonów od rb. 25 — 100. 15—15

**Lekeye Muzyki** na fortepianie udzielam dzieciom i starszym. *Elektoralna 41 m. 11.* 12—6

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna — miesięcznie w Warszawie kop. 35.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

**TREŚĆ:** W dzień Zaduszny, wiersz przez E. Lejową (z ryc.) — Ze skarba literatury wszechświatowej, przez Waleryę Marrenę-Morzowską. — Wszyscy Święci w Nieświeżu (dok.) — Z Danii, przez Maryę Weryho (z ryc.) — Dwie wygnanki, powieść z czasów cesarza Barbarossy, przez Teresę Jadwigę. — Ze świata. Wycieczka balonem (z ryc.) — Do naszych czytelników. — Łamigłówki i rozwiązania. — **Dodatek:** Zadanie, wiersz Wł. Z. Z. (z ryc.) — Moje opowiadanie, przez Zofię Bukowiecką. — Rodzina Ziemiaka. — W krainie cukierków, E. Br. M. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów.

**Bezpłatny dodatek książkowy:** Chłopiec okrętowy. Przełożyła O. K.

Redaktorka Ludwika Hauke. Дозволено Цензурою. Варшава 12 Октября 1903 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka 15.



## Zadanie.

*W dzień jesienny u komina  
Dwoje wdzięcznych dziewcząt siedzi,  
Mała Anđzia główkę biedzi  
I zadanie przypomina.*

*Tłomaczyła w szkole pani,  
Ona jakoś nie pamięta...  
To zatrudne chyba dla niej...  
Siostra słucha uśmiechnięta.*

*Dla niej to są łatwe rzeczy,  
Liczbę w myśli już odjęta:  
Skargom Anđzi główką przeczy,  
Wpół ramieniem ją objęta.*

*— „Nie tak, słuchaj“ i objaśnia  
Przekonywa i tłumaczy,  
Anđzi liczko się rozjaśnia,  
Wie co liczba jaka znaczy.*

*Ścisła siostrę pochyloną  
„Jakże dobra moja Mania!”  
Oczy Mani szczęściem płoną —  
Rozwiązała dwa zadania.*

Wł. Z. Z.



Zofia Bukowiecka.

## MOJE OPOWIADANIA.

(Dalszy ciąg).

### Rozdział III.

Wiek. — Koń sługą człowieka. — Skąd przyszli nasi praojcowie? — Trzy roje. — Słowianie. — Zamiana bogactw. — Sita. — Wiece. — Kmiecie. — Wodzowie i książęta.

„Mija roczek, drugi mija,  
Jezus w kłębek latka zwiija,  
A gdy Jezus sto lat zwinął.  
Ludzie mówią: Wiek już minął!”

Tak, wiekiem nazywamy każde upłynione sto lat, liczymy je zaś, my chrześcijanie, nie od stworzenia świata, ale od Narodzenia Dzieciątka Jezus w Betleem. Teraz jest już wiek 20-ty ale to, o czym w tym rozdziale opowiadać wam będę, działo się może w ósmym może w dziesiątym wieku. Nasi pradiadawie byli teraz już o wiele bogatsi niż pierwsi ich ojcowie. Nie tracili czasu nadarmo, uważali na-

przykład, jak rybka płynąc, porusza wodę skrzelami i nauczyli się od niej budować łódź z wiosłem, patrzyli, jak pajęczek snuje swoją siatkę i spróbowali sami snuć nitki ze lnu lub wełny, a tym sposobem zrobili w końcu płótno na koszule i sukno na kamizelę. Widzieli, że z pestek wiśni wyrastają wiśniowe drzewa, a z ziarenka prosa wyrasta kłos pełen zboża, dalej więc rzucić w ziemię pestki i ziarenka. Te pierwsze ogrody i pola uprawiali nasi ojcowie najprzód własnymi rękami a potem drewnianym pługiem. Do pługa zaprzęgał osadnik siebie i żonę, że jednak praca to była bardzo ciężka, spróbowano zaprzęgać zwierzęta, najprzód krowę i wołu a potem konia zrobiono swoim sługą.

A koń jest przecież mocniejszy od człowieka. Widzicie więc jak wiele znaczy rozum i silna wola. Rozumem zaprzęgli dzisiejsi ludzie parę i elektryczność do swoich wozów i pługów, już nie wystarcza im siła konia, potrzebują mocniejszego sługi żeby przebić tunel w olbrzymiej górze lub ciągnąć sto wagonów naładowanych węglem. Ale naszym praojcom wystarczał koń i ten, kto pierwszy dosiadł dzikiego wierzchowca, kto pierw-



szy zorał nim pole, musiał być zuch nielada, zamiast ciągnąć pług w pocie czoła, kazał swemu słudze koniowi zrobić za siebie robotę. Robotą zaś nie była dla konia ciężka, bo ziemia, na której osiedlili się nasi dziadowie, jest urodzajna, płaska, lesista a wodna, dawała mieszkańcom łatwe utrzymanie. Kochali ją też za setny plon na zorany zagonie, kochali za zielone dąbrowy, za żywe wody, płynące strumieniami, za ptactwo świergocące, za łąki kwieciste, za wesole dni wiosny i za tęskne dni jesieni, kiedy pajęczki snują srebrne nici po ścierniskach, a bociany żegnają gniazda wołając „kle! kle! kle! do widzenia gdy nastaną ciepłe dni.”

A może kto z was zapyta, czytając to opowiadanie: „Skąd przyszli ci pierwsi nasi praojcowie i jak ich zwano za owych dawnych, bardzo dawnych czasów?”

Słuszne pytanie, ale jestem pewna, że sami na nie odpowiedzieć potraficie, bo każdy z was pamięta historię Noego i wieży Babel, wiecie zatem, że ludy z Azji rozeszły się we wszystkie strony świata. Czy widzieliście ul, z którego w lecie, gdy zbyt wiele mieści pszczoł, nowe wyfruwają roje? Ej widzieliście, prawda? Któż bo nie lubi miodu, pewnie nie jeden z was słodkie zajadał przysmaki. Otóż Azya była tym ulem, z którego roje ludzkie wychodziły w dalekie, coraz dalsze strony szukać dla siebie nowego pomieszczenia i obfitszego chleba.

Szły na zachód, na południe, szły też na wschód aż doszły do Europy i tu podzieliły się na trzy wielkie gromady. Pierwsza zamieszkała ciepłe kraje na południu, tam gdzie są Włochy i Grecya. Druga gromada poszła dalej w stronę, gdzie u nas zachodzi słońce. Trzecia osiedliła się na północ i na wschód Europy.

Najlepiej szczęściło się tym ludziom, którzy wybrali sobie ciepłe kraje za mieszkanie. Nie potrzebowali wojować z niedźwiedziem, żeby okryć się futrem od mrozu, nie potrzebowali dużo orać i siać, bo mieli pomarańcze, winogrona i oliwki. To też kiedy u nas szumiał jeszcze bór, oni znali już sztukę pisania i czytania, ich postęp był bardzo szybki, posiadali wiele bogactw, budowali piękne miasta i zdobili je ślicznymi rzeźbami, dziś jeszcze podobałyby wam się one, jestem pewna.

Gorzej już działo się tej gromadzie, która osiadła na zachodzie Europy, ale że to byli ludzie zaczepialscy, że prędko bardzo nauczyli się wojować, więc pobudowali obronne grody, wykuli miecze ze stali, ubrali się w miedziane lub żelazne stroje i dalej zabierać innym, czego sami nie mieli.

Trzeci rój ludzki osiadł na północy i na wschodzie, był rośły, pracowity, wytrwały na zimno, był szczerzy w przyjaźni a gościowi rad całą duszą, lubił śpiew, muzykę i tańce, chodował bydło i orał rolę, a tylko zaczepiony chwycił oszczep lub łuk ku swej obronie. Ten trzeci rój zwał się Słowianami, to jest ludźmi, którzy się wysławiać umieją a sąsiadów zaczepialskich z zachodu przezywał Niememi, później Niemcami, to jest takimi, których mowy nie

rozumiemy, jak naprzykład często głuchoniemych zrozumieć nie możemy.

Praojcowie nasi pochodzą od Słowian. Piękna to nazwa, prawda? Toż nawet w Ewangelii jest napisane, że Bóg stworzył świat przez słowo i że w tym słowie był żywot ludzi.

Nie zbywało też Słowianom na żywotności, to tylko bieda, że rój ich rozbił się w gromady, z których powstały różne narody, a te nie zawsze zgodnie z sobą żyły. Trudno byłoby opowiadać wam o wszystkich ludach pochodzenia słowiańskiego, to jest o Rosyanach, Czechach, Rusinach, Morawianach, Słowakach, Bułgarach lub Serbach, dowiecie się o dziejach tych narodów z innych książek. Ja mówić będę tylko o praojcach naszych.

Rój Słowian, z którego powstał nasz kraj, rozdzielił się także na kilka gromad, a każda z nich inne nosiła nazwisko. Stało się zaś to podzielenie właśnie w ósmym, lub dziewiątym wieku. Odtąd zwano Pomorzanami lud Słowiański nad brzegiem morza Bałtyckiego osiadły, Polanami tych co mieszkali nad Wartą, Mazurami gromady z nad Wisły, Chorwatami rodziny Słowiańskie żyjące tam, gdzie potem zbudowano Kraków i Sandomierz, Ślązakami plemię około Odry zamieszkałe. Wszystkie te roje z jednego Słowiańskiego pochodziły ula, kochały one wolność nade wszystko, żyły spokojnie w niskich chatkach i wtedy dopiero łączyły się w liczniejsze gromady, kiedy między rodami wybuchała kłótnia.

(d. n.)

---

## RODZINA ZIEMNIAKA.

---

### I.

#### Rozmowa w podziemiu.

**N**astaly chłodne dni jesieni. Wiatr hasał po polu i rozrywał srebrne niteczki „babiego lata,” a one uciekały w stronę łąnu z kartoflami i tam czepiały się podwiędłych i zczerniałych łodyg.

Rolnicy po żniwach zabrali się do siewu ozimin, a kartofle czekać muszą, aż się tamta skończy robotą. Kartofelkom jednak wcale nie pilno, by je z pola zabierano. Cóż je tam obchodzi wiatr jesienny i zimno, kiedy siedzą sobie w ziemi, jakby pod ciepłą pierzynką.

Pod jednym krzaczkiem, który jeszcze niedawno miał zielone, soczyste liście i bukiety blado-fioletowych kwiatów, a teraz suchemi sterczał badyłami, siedziało liczne rodzeństwo. Matką ich i karmicielką była ziemia, ona dostarczała pożywienia, musiały tylko brać je korzonkami.

Rodzeństwa spora była gromadka, lecz kochali się najbardziej i najlepiej rozumieli z sobą: Ziemniak, Grzel, Gajdok i siostra Perka.

— Ach! jak to dobrze — mówił Ziemniak do rodzeństwa, — że mi Pan Bóg dał taki wspaniały wzrost i siłę; wszystkiemi się wami zaopiekuję i na was wszystkich będę pracował!



— Dziękuję ci kochany Ziemniaku! — odezwał się na to Grzel — ja sobie sam poradzę.

— I ja! i ja! — wołali inni — my też jesteśmy zdrowi i silni, chcemy sami na siebie pracować i jeszcze drugim być pożyteczni.

Zaczęto więc radzić nad tem, do jakiejby się wziąć roboty, żeby nietylko jeść i spoczywać, lecz siły swoje oddać w posługi innym. Ten radził to, tamten co innego, ale wszystkie rady, były nie do wykonania.

— Et! dajcie pokój tej mądrej rozmowie — zawołał wreszcie zniecierpliwiony Gajdok. — Ja wam mówię, że najlepiej siedzieć cicho w ziemi i kwita! Co kartofel może lepszego zrobić? Jeść i rosnąć takie już nasze przeznaczenie i tego się trzymajmy.

— Źle mówisz, braciszku — zaprzeczył spokojnie Ziemniak. — Jesteśmy już całkiem dojrzały, więc myśleć tylko o sobie, byłoby szkaradnie. Wszystko co Pan Bóg stworzył, ma jakieś przeznaczenie i nietylko o sobie myśleć musi, ale i drugim pomagać. Jak my nie moglibyśmy się obejść bez ziemi i tego, co ona nam daje, tak znowuż nas gdzieś potrzebują; nie wiemy tylko gdzie.

— Tak, tak! Ziemniak ma rację — wykrzyknęli Grzel i Perka. Wstydem byłoby dla całego naszego rodu, gdybyśmy byli darmożjadami!

— Ja się tam zaraz wezmę do roboty — rzekła z zapalem Perka — i będę dla wszystkich...

Lecz nie dokończyła swojej przemowy, gdy coś huknęło raz, drugi i trzeci, ziemia się zatrzęsła, rozstąpiła i całą podziemną siedzibę jaskrawe oblało światło.

— Co to! co to? — wołały przerażone kartofle, lecz nie było czasu do namysłu ani rozejrzenia się, gdyż zaraz je porwano i razem z innymi kartoflami wyspano na wóz.

## W krainie cukierków.

przez **E. Br. M.**

(Dokończenie).

A tłum karzełków, jakby pstre kwiecie,  
Za nimi czapki w górę wyrzuca,  
I wiwatami brzmią wszystkie płuca.

Przed pałac króla już zajechali,  
I do paradnej wstępują sali,  
Co ma z różowych karmelków ściany;

Całą galeryę figur wspaniałych,  
Z lodów różowych, żółtych i białych.

W uszanowania pełnej postawie,  
Józio i Wańdzia stają przed tronem,  
A król tak do nich rzeczkuje łaskawie:  
— Błąd Wańdzy został już wybaczone;  
O jej poprawie nie wątpię wcale.  
I litość bratnią Józika chwalebę,  
Niech w sercu swoim chowa ją wiernie.  
A ta siostrzyczka, chociaż raz płocha,  
Snać dla braciszka dobra niezmiernie,

Kiedy ją Józio tak bardzo kocha! —

Teraz żegnajcie już państwo moje!  
Zamykam dla was jego podwoje,  
Boście poznali wśród mych rubieży,  
W czem słodycz prawdziwa leży,  
Lecz by pamiętać to, co się stało,  
Przyjmcie ode mnie pamiątkę małą. —

Dał znak; — wnet zastęp karzełków nowy  
Przynosi piękny posąg cukrowy:

Na białym koniu, o mlecznej grzywie,  
Jeździec przybrany w pancerz złocisty,  
I lśniącą zbroję, — a tak prawdziwie,  
Z rąk cukiernika wyszedł artysty,  
Jakby w tej chwili po stepie gonił!

Józio z radości aż się zapłonił...

\* \* \*

Pocóż mam jeszcze, słuchacze drodzy,  
Bawić was dalszą losów koleją,  
Już odtąd dzieci zawsze umięją,  
Łakomstwo swoje trzymać na wodzy,  
Zawsze są dobrzy, weseli grzeczni,  
Złączeni z sobą coraz serdeczniej.  
A choć karzełek nawet w soboty,  
Przejdźcie do cukrów trzyma w sekrecie. —  
Wierście, gdzie miłość bratnia i cnoty,  
Prawdziwą słodycz zawsze znajdziecie.

### ŁAMIGŁÓWKA KROPOWANA.

uł. Muszka z nad Rosi dla Kici i Luni.

Ż. z. mk. .t. w sk. r. p. . n. w. g. dn. . s. dz. .ł  
Ż. ł. w. ł. m. sz. ż. ł. w. .ł. Ż. ł. w. j. j. dp. w. . dz. .ł  
— M. j. t. y. s. b. c. p. ł. c. j. m. j. d. m. k. w. ł. sn.  
Prawdę, że n. . wsp. n. .ł., szc. p. ł. .ł. w. ł. sn.

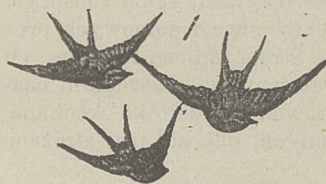
### ZADANIA.

Wprost jest to plac z towarami,  
A wspak między rupieciami.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 41-go.

**Rebus:** Warszawa.

**Zagadki:** Łódź.



## Skrzynka do listów.

Wiersz **Macieja J. z Witkomierza** będzie drukowany; czasu jednak oznaczyć nie możemy.

Poczta! — wołają mnie do redakcyi, a ja spieszę, o jak spieszę, po wasze kochane liściki. Komu najprzód odpowiedzieć? i ten miły i ten miły, radabym wszystkie naraz przeczytać, a jeszcze większa szkoda, że zamiast czytać listy, nie mogę rozmawiać z wami, zadawać pytań, udzielać rad, jak na doświadczoną przyjaciółkę przystoi. Dziś jednak na pewno, **Łowiczance** należy się pierwszeństwo, a wiesz dlaczego kochana Łowiczanko, oto zrobiłaś tak, jak prosiłam, napisałaś list treściwy, bez frazesów w rodzaju „znudziłam Jaskółkę” „Ja





skółka będzie ziewała czytając to, co nabazgrałam" i t. d. i t. d. Bieda tylko, że zaczynasz list wiadomością o chorobie. „Doktor obawiał się zapalenia płuc” — piszesz, a więc obawa to była płonna, a sądząc z dobrego humoru w zakończeniu listu musisz być już zupełnie zdrową. Radzę ci jednak, abyś na przyszłość dokładniejsze dawała wskazówki pytającym o cenę samodziółów, bo wedle tych, jakie zawiera twój list, nikt obstanku zrobić nie potrafi, a byłoby do życzenia, żeby śliczne Łowickie samodzielnie wyrugowały z naszych mieszkań brzydką i nietrwałą jutę.

**Azurea** kończy swój list znakiem zapytania, ja także pytaniem ci odpowiem, „dlaczego nie doniosłaś nic o sobie Azureo?”

— Oóż może przynieść ciekawego Jaskółce mój list lub listy dzieci w moim wieku pisze **Muszka z nad Rosi**, a ja właśnie dużo o tobie myślałam Muszko, i z niecierpliwością czekałam wiadomości, czy zdrowie twoje się poprawiło. Wiem z dawnego listu **Żabki**, że miałaś jechać do Włoch; żałuję twoich siostr, tęsknić będę za tobą, ale zazdroszczę ci pięknej podróży. Obyś z niej odniosła jaknajwiększy pożytek nietylko dla ciała ale i dla ducha. Ignacy Kraszewski sławny powieściopisarz, który zdawałoby się tak mało miał czasu na korespondencje, odpisywał natychmiast każdemu, kto się do niego z listem zwrócił, słusznie więc robisz Muszko, naśladowując ten dobry przykład.

Prosisz, droga **Miri**, żebym się wstawiła za tobą do redakcyi, zrobiłam to zaraz i obiecano sprawdzić, czy rozwiązania twoje przyszły. Ale gdybyś wiedziała, ile ich nadchodzi, jak wiele redakcyja ma pracy z załatwieniem wszystkich żądań, miałabyś dla niej wyrozumienie. Dziń! dziń! dziń! oto znów ktoś dzwoni, pewnie kłopotać będą mój wszechwładny areopag, przed którym drzę biedna ptaszyna, żeby mi nie obciążył zbyt długich odpowiedzi. A to tak łatwo zapomnieć się gawędząc z wami. Dziękuję ci za kartę, dyskrecyę obiecując, dziękuję i za opis **Zofijówki**, który znałam tylko z dzieł Trembeckiego.

Pragnę zasłużyć dobrą radą na twoje zaufanie, kochana **Janko z Kiele**, a dam ci ją z własnego doświadczenia. Dużo komedijek drukują **Wieczory** i łatwo między niemi znajdziesz odpowiednią, wyszedł także z druku zbiór komedijek za 60 kop., można je przejrzeć w księgarni, ja jednak radziłabym ci wybrać ustęp z jakiego pięknego scenicznego utworu i odegrać go zamiast komedijki.

**Carissimo**, żądasz odpowiedzi na list, którego nie odebrałam, napisz, proszę, jakiej chcesz książki, a pamiętaj że zmianą pseudonimu nie zmienić twojej dla mnie życzliwości.

Figlarka z ciebie, **Wajdelotko**, wiesz dobrze, że nikt nie ziewa, czytając takie pochlebne słówka, jak twoje dla Jaskółki. Za piękny opis wsi chciałabym ci się wzajemnie czemś ciekawem z miejskiego bruku. Opisem wystawy **Siemiradzkiego** i **Malczewskiego** naprzykład? Ale na takie sprawozdanie za mało miejsca w skrzynce. Przyjedź sama zobaczyć, czyż jednak **Wajdelotka** może oddalić się od domowych progów, kiedy w nich **Znicza** strzeże. Strzeż **Znicza** rodziny, bo ciepło przy nim i zacisznie, nawet samotni i bezdomni czasem coś z tego ciepła dostają, prawda **Wajdelotko** kochana, niewolno zapominać o wydziedziczonych, gdy się jest stróżem rodzinnych skarbów.

Przechowamy twoje robótki **Jadwiško**, dziękując ci za nie tem serdeczniej, że z własnych oszczędności kupiłaś materiały na fartuszek i koszulki. Kartę twoją odebrałam, redakcyja obiecała przesłać żądane adresy.

Wielkiego zaszczytu dostąpiłaś **Prządko złotych nici**, być starszą druchną na weselu i do tego na weselu w Krakowie, tego doprawdy zazdrościć ci można. Pamiętaj, że należy mi się opis twych wrażeń z tej uroczystości. Roboty na konkurs odebrała redakcyja.

Żałuję cię kochana **Beatryczo**, że z powodu choroby nie mogłaś należeć do konkursu wytrwałości. A wytrwałość

to taki piękny przymiot! warto dołożyć starań, aby go nabyć koniecznie. Czy chcesz posłuchać mej rady? oto daj dowód wytrwałości, ćwicząc się w kaligrafii a zwłaszcza w ortografii. Piszesz **łóżko** przez *u*, **Krzysztof** zamiast **Krzysztof**, **podróż** przez *u* **szczerze** zamiast **szczerze**. Mam nadzieję, że nie weźmiesz mi za złe przestrogi, i wkrótce odbiorę list, który będzie dowodem, że umiesz wytrwale poprawiać się z błędów. Redakcyja książkę wysłała.

Czy zaczęłaś **Trawko Sławieńska**, już lekcye z babcią a dziadzio czy bardzo srogim jest dla wnuków? Chętnie przyfrunęłabym pod twoje okno, żeby usłyszeć wasz świergot, kochana trójko.

Dziękuję ci kochana **Gospośiu** za obietnicę częstego pisywania, gospośie jednak znają wartość czasu, wybaczysz mi więc jeśli razem moja odpowiedź prośbą będzie, bo należy się ona i figlarce, która pseudonym **Zet** ukrywa. Pytasz, czy odgadłam kto jesteś, sądzą, że tak, ale choć być dyskretną i nie zmuszam cię do odsłonięcia przyłbicy. Bardzo mi się podoba twój projekt, aby czytelniczki **Wieczorów** same dostarczały wzorów do artykułiku o robotach. Trzeba tylko, żeby te wzory były oryginalnym ich pomysłem.

Zostawiłam umyślnie na ostatek list **Polskiej Dziewczyny**, żeby dłuższą odpowiedzią zachęcić nową korespondentkę do częstszego pisywania. Sześć lat czytujesz „**Wieczory**” i dziś pierwszy raz odważyłaś się na list, chociaż, jak piszesz, dawno miałaś ochotę zawiązać znajomość z Jaskółką. Czyż ona takim straszonym jest ptakiem? Toż nie ma ani krogulczego dzioba, ani sępicich szponów i chętnie wyciągnęłaby do uścisku niewiną swoją łapkę. Piszesz bardzo wyraźnie, co jest wielkim przymiotem, ten wzgląd więc także niesłusznie przytaczasz na swoje usprawiedliwienie. Nie trzeba zwlekać z dobrą intencją, bo często pozbawiamy siebie i drugih pociech serca. Dwa razy ten daje, kto daje jak najprędzej, jest starem ale mądrem przysłowiem. Daj mi twą przyjaźń, **Dziewczynno**, a potrafię ją ocenić i znajdziesz, jak wszyscy korespondenci „**Wieczorów**,” szczerzy oddźwięk swych uczuć w waszej

Jaskółce.

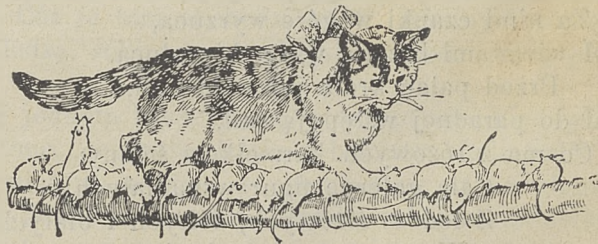
#### Opowiedzi działu zadaniowego.

**Echo konkursu wytrwałości.** W sprawozdaniu konkursowem w spisie odznaczonych pochwałami zostali opuszczeni **Amatorzy kwaśnych jabłek** i **Stokrotka**.

Wszystkim uczestnikom konkursu wytrwałości, odznaczonym pochwałami, pamiątkowe karty korespondencyjne rozesłano.

**Zadania i łamigłówki własnego układu**, nadesłane przez **Miri**, **Białą Konwalię**, i **Filologa**, zaliczone zostały do druku.

Rebus **Z. Szyszko** rysowany jest ołówkiem, co go czyni niezdatnym do reprodukcji w piśmie; nie wyróżnia się przytem lepszym pomysłem.



#### Wymiana kart pocztowych.

(Za pozwoleniem rodziców lub opiekunów.)

**Zosia Szyszko** (Petersburg, Bałtycki foksal, Nr. 5) pragnie zamieniać karty z **Yum-yum** z Buffalo, **Miri**, **Piękną Różą**, **Wiochną**, **Azureą**, **Wisienką**, **Polonezem A-moll**, **Incognito** i **Prządką złotych nici**.